

**STAR
WARS**

MISTRZ
I UCZEŃ



CLAUDIA GRAY

TLUMACZYŁA
Marta Duda-Gryc

Prorocze sny są możliwe, gdy duszę oświeca
czynny intelekt.

Ibn Ruszd zwany Awerroesem

STAR WARS[™] CHRONOLOGIA

WIELKA REPUBLIKA

ŚWIATŁO JEDI
W CIEMNOŚĆ
PRÓBA ODWAGI
BURZA NADCIĄGA
NA RATUNEK VALO
POŚRÓD CIENI
GASNĄCA GWIAZDA



UPADEK JEDI

MISTRZ I UCZEŃ

MROczne WIDMO. EPIZOD I

ATAK KLONÓW. EPIZOD II

WOJNY KLONÓW

KATALIZATOR (wprowadzenie do filmu
Łotr 1. Gwiezdne wojny – historie)

DYNASTIA THRAWNA. CHAOS

DYNASTIA THRAWNA. WYŻSZE DOBRO

MROczNY UCZEŃ (na podstawie niezrealizowanych
odcinków serialu *Wojny klonów*)

ZEMSTA SITHÓW. EPIZOD III



RZĄDY IMPERIUM

PARSZYWA ZGRAJA

AHSOKA

THRAWN

LORDOWIE SITHÓW

TARKIN

WIELKA UCIECZKA (wprowadzenie do filmu
Han Solo. Gwiezdne wojny – historie)

HAN SOLO. GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE

NOWY ŚWIT (wprowadzenie do serialu *Rebelianci*)

UTRACONE GWIAZDY

OBI-WAN KENOBI

REBELIANCI

THRAWN. SOJUSZE

THRAWN. ZDRADA



ERA REBELII

ŁOTR 1. GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE

NOWA NADZIEJA. EPIZOD IV

BATTLEFRONT II. ODDZIAŁ INFERNO

UCIECZKA SZMUGLERÓW. PRZYGODY HANA
SOLO I CHEWBAKKI

DZIEDZIC JEDI

MIECZ JEDI. PRZYGODY LUKE'A SKYWALKERA

BATTLEFRONT. KOMPANIA ZMIERZCH

IMPERIUM KONTRATAKUJE. EPIZOD V

RUCHOMY CEL. PRZYGODY KSIĘŻNICZKI LEI

POWRÓT JEDI. EPIZOD VI



NOWA REPUBLIKA

ESKADRA ALFABET

ESKADRA ALFABET. PUSTE SŁOŃCE

ESKADRA ALFABET. CENA ZWYCIĘSTWA

KONIEC I POCZĄTEK

KONIEC I POCZĄTEK. DŁUG ŻYCIA

KONIEC I POCZĄTEK. KRES IMPERIUM

OSTATNI STRZAŁ

THE MANDALORIAN

THE MANDALORIAN. SEZON II

KSIĘGA BOBY FETTA

WIĘZY KRWI



NASTANIE NAJWYŻSZEGO PORZĄDKU

PHASMA

RUCH OPORU

PRZEBUDZENIE MOCY. EPIZOD VII

ESKADRA KOBALTOWA (wprowadzenie
do filmu *Ostatni Jedi*)

OSTATNI JEDI. EPIZOD VIII

SKYWALKER ODRODZENIE. EPIZOD IX

Dawno, dawno temu w odległej galaktyce....

To czas pokoju. Istniejąca od tysięcy lat REPUBLIKA GALAKTYCZNA zapewnia dobrobyt wielu planetom, a większości pozostałych daje przynajmniej możliwość rozwoju. Rozwiązywaniem bardzo nielicznych konfliktów, które kładą się cieniem na galaktyce, zajmują się RYCERZE JEDI, strażnicy pokoju i ładu w Republice.

Do jednego z takich zatargów dochodzi na planecie Teth. To źródło zepsucia zagrażającego wielu pobliskim układom. Rada Jedi wysyła tam zatem QUI-GONA JINNA i jego młodego padawana – mają z bliska przyjrzeć się tej sprawie. Świat prześcący na Teth okazuje się jednak oporny na współpracę...

ROZDZIAŁ 1



Nie ma emocji – jest spokój.

Nie ma ignorancji – jest wiedza.

Nie ma pasji – jest równowaga.

Nie ma chaosu – jest harmonia.

Qui-Gonowi Jinnowi przemknęło przez myśl, że ten, kto napisał kodeks Jedi, zapewne nigdy nie miał do czynienia z Huttami.

Biegł przez kamienny korytarz w kompleksie pałacowym Huttów, a odgłosy wystrzałów z blasterów odbijały się za nim echem od ścian. Czerwone błyski rozświetlały mrok niczym błyskawice. Ci, którzy go ścigali, niebawem miną zakręt i nic już nie będzie im przeszkadzało w strzeleniu prosto do niego, co oznaczało, że powinien jak najszybciej dać nura w jakieś drzwi.

– Obi-Wan! – zawołał. – W lewo!

– Tak, mistrzu – wysapał Obi-Wan, który biegł kilka kroków za Qui-Gonem.

„Jak to, już się zmęczyl?” – zdziwił się Qui-Gon, gdy zbiegali po długich schodach, które powinny prowadzić do zewnętrznej, nowocześniejszej części zespołu pałacowego. Ich ucieczka do tej pory objęła tylko trzyminutowy sprint... a, i oczywiście wspinaczkę na dwudziestometrową ścianę. Ale przy wejściu w odpowiedni stan medytacyjny nie powinno to nikomu sprawiać większych trudności.

„Obi-Wan nie opanował dobrze medytacji bitewnej – uświadomił sobie Qui-Gon. Kroki jego padawana dudniły za nim głośno na schodach. – W jego wieku umiałem już...”.

Qui-Gon powstrzymał się od dokończenia tej myśli. Porównywanie własnego szkolenia i szkolenia jego ucznia nie prowadziło do niczego konstruktywnego. Każdego prowadziła do Mocy inna droga. A on powinien się skupić na tej, która pozwoli im uciec z tego miejsca.

Otoczając ich ciemność rozjaśnił nagle promień wpadający przez otwarte drzwi. Qui-Gon dobył miecza i zapalił go, oświetlając klatkę schodową. Obi-Wan uczynił to samo sekundę później – dokładnie w chwili, kiedy dotarli do wielkiego, bardzo zatłoczonego pomieszczenia.

A konkretnie do jednej z huttyjskich palarni przyprawy.

W powietrzu, niczym mgła, unosił się ciężki, słodki dym. Na platformach, lewitujących na różnej wysokości nad oszołomionymi przyprawą bywalcami tego przybytku, grali muzycy. Na złocym podium spoczywał Wanbo Hutt, który zaciągał się dymem tak łapczywie, że wypełniał nim natychmiast troje swoich płuc. Nikt nie był na tyle przytomny, by zorientować się od razu, że w sali pojawiło się dwóch rycerzy Jedi.

Miecze świetlne zwykle jednak zwracały uwagę.

– *Apa hooah gardo!* – wychrypiał Wanbo, gestykulując niemrawo ogonem.

Jeden z jego gamorrekańskich strażników zakwicział i kołyszącym się krokiem podbiegł, by zagrozić im drogę u dołu schodów. Nie zrobiło to na Qui-Gonie większego wrażenia. Niepokoił go za to ciężki tupot kilku strażników rasy ludzkiej, którzy zbiegali po schodach za nimi. Nie podobali mu się również dwaj inni Gamorreanie przy drzwiach.

– Skacz! – zawołał Qui-Gon i sam odbił się, lądując na drugim końcu sali, na jednej z platform dla muzyków, zajętej właśnie przez sekcję dętą. Kitonakowie szarpnęli się w przestroniu do tyłu i członkini zespołu spadła ze skraju podestu na brudną, zasłaną poduszkami podłogę, otaczającą podium z Huttem. Wylądowała na Trandoshaninie, który zasyczał z oburzeniem, ale większość oszołomionych klientów w ogóle niczego nie zauważyła.

Qui-Gon obejrzał się za siebie. Obi-Wan skoczył na platformę, na której jakiś Shawda Ubb grał na harmonijce growdi. Okazało się niestety, że muzyk jest ulepiony z twardszej gliny. Grając wciąż dwiema kończynami na instrumencie, zadał Obi-Wanowi cios trzecią, a potem jeszcze na niego splunął.

„Jad!” – przeraził się Qui-Gon. Obi-Wan jednak bez trudu uchylił się przed trującą substancją. Miał znakomity refleks. Nawet jeśli nie potrafił zachować zimnej krwi podczas walki, nie brakowało mu właściwych odruchów.

Kiedy na schodach pojawili się kolejni strażnicy – tym razem ludzie, Qui-Gon krzyknął:

– Zajmij się tymi drzwiami!

A potem nacisnął nogą pedał sterujący platformą, żeby popędziła w kierunku strażników. Pośrodku chaosu przywołał do siebie głęboki spokój, duszę wszechświata, która zawsze słuchała, zawsze odpowiadała.

Nie myśląc ani nie celując świadomie, Qui-Gon wznosił miecz świetlny, kierując go w górę, w dół, w bok – blokując

każdą blasterową wiązkę. Strzelali coraz szybciej, ale nie miało to znaczenia. Wyczuwał ich zamiary z wyprzedzeniem. Jego spokoju nie podzielali kitonaccy muzycy – wszyscy dali drapakę z platformy. I dobrze, bo dzięki temu mógł się skupić tylko na bezpieczeństwie swoim i swojego padawana. Choć oczywiście Obi-Wan umiał sam o siebie zadbać.

Czy raczej tak się Qui-Gonowi wydawało przez jeszcze dwie sekundy, zanim Obi-Wan zeskoczył przy panelu sterowania drzwiami i wbił weń miecz świetlny. Gorąco stopiło obwody.

„A niech to!” – syknął w myśli Qui-Gon.

– Chodziło mi o to, żebyś zajął się strażnikami przy drzwiach! – zawołał.

– Mogłeś tak powiedzieć wcześniej, mistrzu! – odkrzyknął Obi-Wan.

Prawda. Ale... że też zawsze trzeba mu było udzielać konkretnych wskazówek! Czy naprawdę musiał myśleć tak dosłownie? A tymczasem dwaj Gamorreanie nadal zagradzali im najlepszą drogę ucieczki. Co gorsza, zniszczony panel – jak się okazało – służył do sterowania nie tylko drzwiami, ale i lewitującymi platformami, które nagle przestały się zachowywać przewidywalnie. Qui-Gon zachwiał się, bo powierzchnia pod jego stopami przechyliła się ostro w lewo, ale zaraz odzyskał równowagę, choć dość niepewną. Wiązka z blastera przeleciała tuż obok niego, wrywając dymiący kawał ściany. Niecelny strzał – ale i tak o jeden za dużo.

„Nie ma czasu na gdybanie – powiedział sobie Qui-Gon. – Nie ma przeszłości ani przyszłości. Liczy się tylko chwila obecna”.

Tymczasem Obi-Wan raczej nie starał się zapanować nad emocjami. Wyglądał, jakby spokój ducha był dla niego czymś bardzo odległym. Zeskoczył z platformy tuż przed tym, jak

z głośnym trzaskiem rąbnęła w ścianę razem z Shawdą Ubem i harmonijką growdi, a potem zręcznie przeciął topór jednego z Gamorrean i odciął rękę drugiemu – na ten widok pierwszy umknął, kwicząc z przerażeniem.

Dopiero to przebiło się przez opary przyprawy i głupoty do świadomości Wanbo Hutta.

– *Hopa! Kickeeyuna Jedi killee!* – wrzasnął.

Gamorreanie z tupotem zaczęli zbiegać ze schodów, zamierzając zapewne pojmać Qui-Gona, kiedy wreszcie spadnie z przechylającej się platformy.

– Mistrzu?! – zawołał Obi-Wan. – Wszystko w porządku?

– Jeśli zdołasz, znajdź nam statek!

Obi-Wan skinął głową i wybiegł z palarni przyprawy w sam środek labiryntu korytarzy huttyjskiego pałacu.

Qui-Gon złapał za brzeg platformy, która znów skierowała się w stronę Wanbo. Kilkoro klientów na dole zaczęło chichotać. Jedi trzymający się kurczowo podestu dla muzyków stanowił widocznie zabawne widowisko. „Niech się śmieją. Lepiej, żeby nie zwracali uwagi na to, co się naprawdę dzieje” – pomyślał, włączając lokalizator przy pasie.

Dysk, na którym stał, podleciał do innej, bardziej stabilnej platformy, unoszącej się metr niżej. Kulił się na niej Kitonak, zasłaniając sobie głowę rogiem kloo. Qui-Gon przeskoczył do niego. Znajdował się teraz mniej więcej na środku sali. Złapawszy równowagę, będzie mógł teraz skoczyć dalej, do góry i w dół...

Wylądował na podium za Wanbo z mieczem świetlnym o centymetry od mięsistego gardła Hutta.

– *Ap-xmai nudchan!* – Wanbo próbował się odwrócić, co dla Hutta stanowiło wyczyn co niemiara, ale Qui-Gon przysunął miecz jeszcze bliżej do jego szyi. Gorąco emitowane przez

klingę musiało być odczuwalne nawet przez tak grubą skórę, bo Wanbo natychmiast znieruchomiał. Zamarli również strażnicy, zarówno ludzie, jak i Gamorreanie. Większość uzależnionych od przyprawy usiadła – wreszcie zainteresowało ich to, co się działo, choć co najmniej jedna z kobiet na podłodze nadal wpatrywała się w sufit, z ustami rozchylnymi w oszłomionym uśmiechu. Ostatnie dwie platformy uderzyły w ściany i runęły na ziemię, ale chyba nikomu nic się nie stało.

Wanbo nie odzywał się, czekając, aż napastnik przejmie inicjatywę. Bez swojego majordomusa Hutt nie miał zielonego pojęcia, co robić w kryzysowej sytuacji.

– Skoro już nie muszę prosić o uwagę – rzekł Qui-Gon – chciałbym omówić kwestię mojego wyjścia z tego pałacu.

– *Chuba, jah-jee bargon* – burknął nadąsany Wanbo, co znaczyło mniej więcej: „W porządku. Cieszę się, że już nie będę was musiał oglądać”.

– I wzajemnie. A zatem zabieram to podium do hangaru. – Dobrze się składało, bo takie podesty można było podnosić lub opuszczać na niższe poziomy, dzięki czemu Huttowie nie musieli ruszać się z miejsca. Qui-Gon spojrzał na salę i oznajmił: – Będzie tam czekał na mnie mój statek. Wanbo będzie stanował znakomitą tarczę, jeśli zamierzacie wystrzelić coś w moim kierunku.

– *Stuka Jedi poonoo juliminmee?* – wychrypiął Wanbo. „Odkąd to Jedi biorą zakładników?”

Istotnie, tego typu rzeczy Jedi zwykle nie robili i Qui-Gon nie przepadał za stosowaniem takich metod. Zdecydowanie nie było to coś, o czym miałyby ochotę słuchać Rada Jedi, kiedy razem z Obi-Wanem powrócą na Coruscant. Qui-Gon zwykł jednak dostosowywać taktykę do przeciwników. Mając do czynienia z Huttami, których gigantyczna fortuna brała się

wyłącznie z nieszczęść innych istot, uważał, że ma prawo robić wszystko, co pozwoli mu na przeżycie.

– Od teraz, jak widać – odparł lekkim tonem. Nacisnął stopą przycisk sterowania i podłoga pod nimi się rozsunęła. Małe ramiona Wanbo zdrząły, kiedy platforma opuściła poziom palarni przyprawy, wlatując do hangaru. Qui-Gon zerknął do góry. Kilka osób gapiło się na nich z wytrzeszczonymi oczami.

A potem obrzucił spojrzeniem hangar – i natychmiast ujrzał Obi-Wana, otoczonego przez pięciu ludzi, strażników, i to dobrze wyszkolonych, sądząc po ich bojowych pozach. Choć padawan trzymał w pogotowiu miecz świetlny, nie mógł jednocześnie się bronić i przesuwac w stronę statków. Obi-Wan popatrzył Qui-Gonowi w oczy, a potem odwrócił wzrok.

Nieopodal stał majordomus Wanbo, Thurible, z dłońmi splecionymi na brzuchu. Uśmiechał się spokojnie.

– Mistrzu Jinnie – odezwał się kulturalnym, uprzejmym głosem. – Jakież to dla nas szczęście gościć jednocześnie dwóch Jedi.

Obi-Wan zeszywniał, szykując się bez wątpienia do walki. Qui-Gon jednak tylko się uśmiechnął.

– Wielkie szczęście – powiedział do Thurible'a. Nie odsuwał miecza świetlnego od gardła Wanbo. – Zwłaszcza że mój lokalizator nadaje od... Och, już od dłuższego czasu. Rada Jedi nie może oczywiście interweniować bezpośrednio, ale będzie w stanie przyjrzeć się wszystkiemu, co się tu do tej pory wydarzyło. I wszystkiemu, co się wydarzy. Czuję się niemal tak, jakby tu z nami była.

Uśmiech na twarzy Thurible'a przybladł na chwilę. Gammorreanie nerwowo przestąpili z nogi na nogę. Kiedy tylko Qui-Gon odkrył w archiwach Teth dwukrotnie rejestrowane ładunki, siły Wanbo ruszyły do ataku. Thurible miał

w pogotowiu plan awaryjny i uruchomiono go, kiedy tylko w pałacu zdano sobie sprawę, że fałszywe zapisy w dokumentacji nikogo już nie omamią. Pierwotny plan na pewno obejmował zgłoszenie, że dwóch Jedi „zaginęło w nieznanych okolicznościach”, co miało być przykrywką dla zabójstwa. Nawet jednak Huttowie nie posunęliby się w swojej arogancji do otwartego mordu na rycerzach Jedi.

Thurible błyskawicznie odzyskał panowanie nad sobą.

– Wygląda na to, że wzięłeś mojego pracodawcę na zakładnika. Ale ja też mam zakładnika – twojego ucznia. Chyba jesteście w impasie, nieprawdaż?

Czyli zamiast wywalczyć sobie drogę ucieczki, Qui-Gon będzie musiał zgodzić się na negocjacje. Z Huttami.

Z wysiłkiem powstrzymał się od ciężkiego westchnienia.

Godzinę później Qui-Gon siedział w kancelarii majordomusa, popijając pogodnie herbatę.

– Te nieporozumienia są tak niefortunne – mówił Thurible, powoli przechadzając się wzdłuż zaokrąglonej ściany pomieszczenia, zupełnie jak pielgrzym medytujący podczas wyprawy. Emanował spokojną pewnością siebie – zupełnie jakby był Jedi, a nie prawą ręką szefa gangu. – Mieliśmy w przeszłości problemy z bezpieczeństwem. Strażnicy... No cóż, od czasu do czasu zdarza się, że ich czujność przechodzi w paranoję.

– Coś podobnego. – Qui-Gon uniósł brew. – A skąd u nich taka paranoja na Teth? Przecież planetę kontrolują wyłącznie Huttowie.

– Zdziwiłbyś się, mistrzu Jedi – odparł niedbale Thurible – ale równowaga sił nieustannie się zmienia. Nikt z nas nie może sobie pozwolić na utratę czujności.

Majordomus u Huttów zwykle był tylko sługusem, pechowym ciepłym ciałem, które pośredniczyło między Huttem

a miejscowymi urzędnikami, mizdrzyło się i pochlebiało tym, którzy dzierżyli rządy, i nie sprawowało żadnej niezależnej władzy. Przeciętny okres zatrudnienia majordomusa trwał, o ile Qui-Gon wiedział, kilka miesięcy – podobnie jak średnia długość życia na tym stanowisku. Prędzej czy później, zwykle prędzej, majordomus brał jakąś łapówkę, kogoś go robił w balona, a potem skazywano go za to na śmierć... Albo kończył martwy bez żadnego powodu, kiedy jego Hutt stracił panowanie nad sobą.

Thurible był inny. Wanbo swoją obecną pozycję zawdzięczał wyłącznie nepotyzmowi. Nie nadawał się do przewodzenia kartelowi przestępczemu, po pierwsze dlatego, że był Huttem o bardzo małym rozumku, po drugie z powodu ogromnego uzależnienia od przyprawy. Qui-Gon przypuszczał, że tylko przez szczęśliwy traf Wanbo zatrudnił osobnika tak inteligentnego, sprytnego i amoralnego jak najpotężniejsi z Huttów. Thurible ubierał się jak poeta lub artysta – ale zaoczny – i przemawiał językiem bardziej wyrafinowanym niż niejeden arystokrata z Coruscant. A jednak wszyscy w sektorze wiedzieli, że prawdziwa władza na Teth należała właśnie do niego.

Choć oczywiście sam był zbyt mądry, by o tym otwarcie mówić.

Obi-Wan został wypuszczony w zamian za uwolnienie Wanbo. Thurible mógł się na to zgodzić i jednocześnie ocalić swoją reputację tylko pod jednym warunkiem: musiał udawać, że napaść na nich miała charakter przypadkowy. Póki nie opuścą planety, najrozsądniej byłoby mu więc przytakiwać.

Jeśli jednak Thurible uważał, że zyskał nad Qui-Gonem pewną przewagę, mylił się całkowicie.

– Przepraszam ponownie za to okropne nieporozumienie – ciągnął aksamitnym tonem mężczyzna. Jego długi,

ciemnopomarańczowy kaftan kończył się tuż nad podłogą i, jako że majordomus nadal chodził w tę i we w tę, odsłaniał co jakiś czas jego bosc stopy. – Zapewniam, że strażnicy zostaną stosownie ukarani, ale przeżyją. Pragniemy w ten sposób uszanować zwyczaj Jedi.

– Miło mi to słyszeć. – Qui-Gon upił łyk herbaty i dodał: – Ta pechowa scysja nie powinna położyć się cieniem na pozostałej części naszej wizyty na planecie.

Thurible uśmiechnął się i uklonił. Czarne włosy opadły po bokach jego twarzy.

– Jesteś uosobieniem wyrozumiałości, mistrzu.

– Często mi tak mówią – odparł sarkastycznie Qui-Gon. – Jednak nadal bardzo mnie ciekawi, co dokładnie dzieje się z transportami rolniczymi na Trielluskim Szlaku Handlowym. Zwłaszcza że rejestry dotyczące przesyłanych towarów w pobliskich układach wydają się... zdecydowanie niezgodne z rzeczywistością.

Thurible nawet nie mrugnął, gdy Qui-Gon nagle przeszedł do ofensywy.

– Nas również to intryguje. Żeby tyle statków zniknęło, tak nagle... To z pewnością wywołało alarm w Republice.

– Alarm to raczej zbyt mocne słowo. Ale te zaginięcia są niepokojące i Republika podejmie w końcu wszelkie środki niezbędne do ochrony ładunków.

Thurible znów pochylił głowę, ale kiedy przemówił, w jego głosie brakowało już usłużności:

– Jak dobrze mieć świadomość, że Republika tak sprawnie chroni swoich licznych obywateli.

Oczywiście Qui-Gon wiedział, że Huttowie porywali statki i rekwirowali ładunek, sprzedając żywność znajdującym się w trudnej sytuacji niezależnym planetom na Zewnętrznych Rubieżach. I Thurible wiedział, że Qui-Gon to wie...

Póki jednak Qui-Gon nie mógł zmusić Huttów do zaprzestania tego procederu – a na razie nie miał takiej możliwości – nie było sensu od razu podnosić przyłbicy. Mogłoby to tylko doprowadzić do rozlewu krwi. Koniec końców Republika odniosłaby zwycięstwo i pozostała silna, Huttowie przez wiele miesięcy prowadziliby wewnętrzne walki, a potem z chaosu wyłoniłaby się nowa wierchuszka gangsterów, która postępowałaby dokładnie w taki sam sposób.

– Czasem – mruknął pod nosem Qui-Gon – wydaje się, jakby w galaktyce nic nigdy nie mogło się zmienić.

Thurible zeszywniał, najwyraźniej nie wiedząc, jak zareagować na taką zmianę tematu rozmowy. Splótł dłonie i zmarszczył ciemne brwi.

– Naprawdę tak uważasz, Jedi?

Dawno temu Qui-Gon wierzył, że wielka, przełomowa zmiana jest możliwa. Że te przeobrażenia zostały przewidziane tysiące lat wcześniej przez mistyków Jedi. Jakiż młody wtedy był... Jaki niewinny, jak optymistycznie podchodził do wszystkiego!

Czas nauczył go, że rzeczywistość wygląda inaczej.

– Nic nie pozostaje niezmiennie – odparł Qui-Gon – ale istoty myślące zawsze będą takie same.

Thurible pokręcił przecząco głową.

– Zmiany przychodzą, kiedy najmniej się ich spodziewamy... Ale przychodzą. – Majordomus wydawał się być teraz bardziej spięty niż wtedy, kiedy Qui-Gon trzymał miecz świetlny przy gardle Wanbo. Wpatrywał się przenikliwie ciemnymi oczami w Qui-Gona, szukając czegoś – ale czego? – w jego wzroku. – Kto wie, jakie przemiany ujrzymy jeszcze za naszego życia?

ROZDZIAŁ 2



Ladny ten Alderaan – stwierdziła Rahara Wick, kiedy „Meryx” oddalał się od planety. – Piękny. Spokojny.

– A do tego zupełnie niepodejrzliwy – dodał z zadowoleniem Pax Maripher. – Bardzo to u planet doceniam.

– I dobrze. Bo to ostatnie miejsce, w którym chciałabym się spotkać z jakimiś problemami.

– Dlaczego? – Pax zmarszczył brwi. – Praktycznie wszędzie spotkałaby nas o wiele surowsza kara.

Rahara skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Tak, ale na Alderaanie nie moglibyśmy się wykupić.

– Są przerażająco praworządni, prawda? To nie miejsce dla takich jak ty i ja. – Pax uniósł kącik ust w filuternym uśmiechu. Czasem lubił udawać, że są większymi przestępcami niż w rzeczywistości.

Rahara z kolei lubiła czasem udawać, że w ogóle nie są przestępcami. Ostatecznie nikogo nie krzywdzili. Nie zabierali z odwiedzanych planet niczego cennego. Poza kamieniami.

Ale coś, co na jednej planecie uważano za zwykły kamień, na innej stawało się klejnotem.

Na przykład na takim Alderaanie, na kontynencie złożonym z archipelagu wysp, ziemia w wielu miejscach była praktycznie pokryta drobnymi, białawymi kamykami, najczęściej wykorzystywanymi jako żwir. Ale wystarczyło zabrać taki kamyczek na Rodię i pokazać Rodianom, których oczy widziały fale światła o takiej długości, że nie dostrzegali ich ludzie – i nagle stawał się spektakularnym, opalizującym, błyszczącym klejnotem – niesłychanie cennym.

Tysiące lat wcześniej, w legendarnych czasach, kiedy Sithowie nadal rządili znaczną częścią galaktyki, kamieniami handlowano zupełnie swobodnie. Zalewanie rynku cennym towarem zwykle prowadziło jednak do obniżenia wartości produktu. Niekiedy kończyło się nawet masowym rabunkiem lub nielegalnie prowadzonym wydobyciem kamieni pospolitych na jednym świecie, ale niezwykłych w innych układach. Szybki i duży napływ takich błyskotek mógł nawet spowodować załamanie gospodarki na całej planecie. Wprowadzono więc ścisłe przepisy regulujące obrót większością kamieni uważanych za cenne lub nawet zakazujące handlowania nimi.

A ona i Pax po prostu... udawali, że te przepisy nie istnieją. Bo przecież nie mogliby zniszczyć gospodarki całej planety tylko we dwoje. Kiedy Pax po raz pierwszy zatrudnił ją jako drugiego pilota i analityczkę, powiedział: „Kto zauważy, jeśli weźmiemy tyle, ile się zmieści w niewielkiej ładowni »Meryxa«? Kto od tego zbiednieje? Nikt. Więc dlaczego my nie moglibyśmy się na tym wzbogacić?”

Rahara istotnie nie pojmowała, dlaczego nie mieliby tego robić – no i w końcu nie byli wszak prawdziwymi przestępcami.

Musiła jednak to sobie regularnie powtarzać, żeby stłumić odzywiający się w niej niekiedy niepokój.

Stanowili w gruncie rzeczy osobliwą parę. Rahara spędziła dzieciństwo w trudnych warunkach – ujmując to

eufemistycznie – i sama nauczyła się wszystkiego, co umiała, zaś Pax został wychowany przez droidy z pamięcią wypchaną niezliczonymi danymi – droidy, które nie miały absolutnie nic innego do roboty. Rahara odznaczała się wysokim wzrostem, miała złocistą skórę i proste, czarne włosy z granatowym połyskiem, sięgające jej aż do pasa. Pax był o kilka centymetrów niższy, a jego kędzierzawa czupryna sterczała na wszystkie strony, jakby właśnie poraził go prąd. Ze względu na swoją bardzo bladą cerę od czasu do czasu spotykał się z pytaniami, czy nie pochodzi aby z planety, której mieszkańcy żyją pod ziemią. Nosił ubrania najwyższej jakości, ale czego by na siebie nie włożył, wszystko jakby wisiało na jego szczupłej sylwetce i zawsze chodził rozchełstany. Rahara wołała prostą czarną odzież roboczą, którą kupowała tanio w sklepikach w kosmoportach – kiedy dodało się do nich zwykłą pelerynę czy kaptur, wyglądało się na tubylca w zasadzie wszędzie. Oboje byli ludźmi – i na tym kończyły się ich podobieństwa.

„Większość ludzi dostrzega w nas tylko roztargnionego naukowca i jego plebejską pilotkę” – pomyślała kobieta. Nie przeszkadzało jej to. Chodziło przecież o to, żeby ich lekceważono i nie dostrzegano. Żeby o nich zapomniano.

Jej dzieciństwo upłynęło pod nadzorem oraz cudzą kontrolą i Rahara nigdy więcej w swoim życiu nie dopuści do czegoś takiego.

Pax pociągnął za dźwignię i „Meryx” skoczył w nadprzestrzeń, a na ekranach ukazał się błękit: raz jaśniejący, raz ciemniejący. Rahara wstała z fotela.

– Sprawdzę spektrometr.

– Nie musisz sobie tym na razie zawracać głowy – rzekł Pax wyrazistym akcentem z Coruscant. – Polecimy na Rodię dopiero za kilka tygodni.

Istotnym było, by nie udawać się od razu z punktu będącego źródłem kamieni do miejsca zbytu – pozostawiało to zbyt wyraźny ślad.

– Ale mogę to załatwić od razu. – Prawdę mówiąc, chwile milczenia między nią a Paxem zrobiły się ostatnio... niezręczne. Rahara wołała się w takich sytuacjach czymś zająć.

Podeszła do drabinki i zeszła do wnętrza „Meryxa”. W większości frachtowców typu Gozanti byłyby to po prostu zwykła ładownia: surowy, goły metal, słabe oświetlenie.

Dzisiaj jednak cała ładownia lśniła złociście, a zawierała tysiące kilogramów klejnotów.

Opracowane przez Paxa pole blokujące odczyty skanerów zawsze robiłoby na niej wrażenie, niezależnie od jego innych walorów. Ale jej pracodawca na dodatek uczynił go pięknym. Piękno miało dla Paxa wielkie znaczenie, dobrze to wiedziała. Nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek otwarcie się do tego przyzna – ale to właśnie był prawdziwy powód, dla którego kradł cenne kamienie, a nie inne, prostsze, bardziej dochodowe towary: po prostu lubił na nie patrzeć.

Przy czym Pax Maripher w życiu by się nie przyznał, że robi coś z przyczyn sentymentalnych.

Rahara związała włosy w koński ogon i zdjęła szatę, w której wcześniej mogła wtapiać się w tłum w Alderze. Podeszła do urządzenia sterującego polem blokującym. Było straszliwie skomplikowane. Pracowała z Paxem już od dłuższego czasu, a jednak wciąż, za każdym razem, musiała sprawdzać ustawienia. (Pax nie rozumiał, o co chodziło w sformułowaniu „przyjazny dla użytkownika”. Albo ktoś miał na tyle inteligencji, by używać jego urządzeń, albo nie). Kiedy już się przygotowała, podciągnęła rękawy do łokci, a potem nacisnęła kombinację przycisków, która wyłączyła pole – potop jaśniejącego światła, a potem ciemność – na niespełna sekundę. Zdążyła złapać

dużą garść ich łupu. Kiedy jej rękę dzieliło tylko kilka centymetrów od niebezpiecznej strefy, pole włączyło się ponownie w oślepiającym rozblasku. Rahara zamrugała i pogratulowała sobie, że tym razem udało jej się uniknąć oparzenia.

– Wiesz – odezwał się za nią schodzący po drabince Pax – dokonaliśmy czegoś, co się nazywa udaną ucieczką. Możesz wyłączyć to pole.

– Mówisz tak za każdym razem. A ja za każdym razem powtarzam, że muszę ćwiczyć, żeby nauczyć się je obsługiwać w krótszym czasie.

– Wydawałoby się, że powinnaś już to umieć.

Rahara przeszła z kamykami na drugą stronę ładowni, tam, gdzie stał stół ze spektrometrem.

– A mnie by się wydawało, że powinieneś się do tej pory nauczyć, jak rozmawiać z innymi ludźmi, zamiast sugerować, że każdy w galaktyce jest kretynem, oczywiście oprócz ciebie. Cóż, wygląda na to, że zawód spotkał i ciebie, i mnie.

Położyła kamyki na stole i zaczęła je segregować według rozmiaru i prawdopodobnej jakości. Raharę po raz pierwszy posadzono do sortowania minerałów, kiedy miała tylko dziewięć lat i przychodziło jej to prawie automatycznie.

– Raharo – zagadnął ciszej Pax. – Przepraszam, jeśli sprawiłem ci przykrość. Próbowałem zażartować.

Nie sprawił jej przykrości, tylko ją zirytował, ale i tak popsuło jej to nastrój. Partner, który postępował bardziej jak droid protokolarny niż człowiek, czasem zaczynał ją nużyć, nawet jeśli miał dobrą wymówkę, żeby tak się zachowywać.

– Widzisz, żeby ktoś tu się śmiał?

– Nie. Oczywiście moje zrozumienie humoru wymaga udoskonalenia.

Na to oczywiście musiała się roześmiać. Pax był najzabawniejszy, kiedy wcale nie starał się żartować.

– Powinniśmy porozmawiać – powiedział, kiedy Rahara założyła gogle powiększające. – O naszym następnym celu.

– Gamorr, tak? – Obrzydliwa perspektywa, ale przynajmniej świeże wspomnienia z Alderaana pozwolą im przetrwać tygodnie taplania się w cuchnących mokradłach. – Wprost nie mogę się doczekać!

– Mówisz sarkastycznie. Zapewniam, że absolutnie podzielim twój brak entuzjazmu. Chodzi o to, że tak się zastanawiałem i... – Pax pochylał się, spoglądając na białe kamyczki na stole. – Po gamorrekański koral możemy polecieć kiedykolwiek. A gdybyśmy tak zainteresowali się czymś rzadszym? I cenniejszym?

– Na przykład czym? Ognistymi diamentami z Mustafara? – Rahara nigdy dotąd nie odwiedziła tej planety, ale z tego, co słyszała, w porównaniu z nią praca na Gamorrze wydawała się wycieczką do raju.

– Nic tak niebezpiecznego. – Odwrócił się do niej i rzekł: – Kryształowy kyber.

– Kyber?! Zwariowałeś? – Rahara przesunęła gogle na czoło, żeby spojrzeć mu w oczy. – Jedi regulują handel kyberem jak... jak... no, dużo surowiej niż wszystkie inne rzeczy, które sprzedawaliśmy. Absolutnie nie powinniśmy się w to pakować.

– A jednak na czarnym rynku handluje się tymi kryształami. I są wykorzystywane w pewnych gałęziach przemysłu. A jeśli żadna firma tego nie kupi, a te rynki okażą się dla nas zbyt czarne, to cóż, zawsze będziemy mogli powiadomić Jedi o nowym złożu kyberu. Pozyskać nowych przyjaciół. Mogłoby nam się to kiedyś przydać – przyjaciele wśród Jedi.

Teraz zabrzmiało to sensowniej. Ale...

– Kyber nie występuje w wielu miejscach, a Jedi mają je pod kontrolą. Naprawdę proponujesz, żebyśmy spróbowali ich okraść?

– Daj spokój! – prychnął Pax. – Nie jestem samobójcą, tylko śmiałkiem. A także osobą, która być może właśnie natrafiła na kompletnie nikomu nieznaną źródło kyberu – i to na księżycu zupełnie bezpiecznej planety. Żadnej straży, zero ryzyka, przyjemny klimat, a jeśli w mojej analizie nie ma błędów, bardzo duża ilość kyberu.

Rahara widziała nieraz, jak Pax godzinami studiuje rozmaite skany planet – informacje, choć dostępne publicznie, były zbyt szczegółowe i skomplikowane, żeby większość ludzi potrafiła je przeanalizować, nie wiedząc z góry, czego szukać. Jej towarzysz dostrzegł w nich jednak więcej niż inni.

– Wiedziała, że musi być jakiś powód, dla którego z tobą wytrzymuję – westchnęła.

Na twarzy Paxa pojawił się szeroki uśmiech.

– No, to zapołujmy na trochę kyberu!

W drodze powrotnej na statku panowała niezręczna atmosfera. Obi-Wan ewidentnie miał nadzieję, że uda mu się uniknąć rozmowy o tym, co poszło nie tak podczas potyczki na Teth – nic dziwnego, w końcu był bardzo młody.

Pod wieloma względami Obi-Wan zachowywał się bardzo dojrzałe jak na swój wiek. Okazywał się tak niewzruszony, że Qui-Gon niekiedy zapominał, że jego padawan miał zaledwie siedemnaście lat. Jedynie czasem, w takich chwilach jak ta, kiedy siedzieli obok siebie w kokpicie promu typu Rainhawk, Qui-Gon uświadamiał sobie, że Obi-Wan wciąż nie pozbył się swojej młodzieńczej niezgrabności. W jego twarzy – prócz zapowiedzi mężczyzny, którym miał się stać – dawało się dostrzec również dziecko z przeszłości.

I jak zwykle w takiej chwili Qui-Gona dopadało poczucie winy, bo Obi-Wan miał taki potencjał, tak znakomicie się powiadał...

Zasługiwał na mistrza, który umiałby to w nim rozwijać.

Od początku tworzyli trudny tandem, z częstymi nieporozumieniami i emocjonalną huśtawką. Nie było w tym nic dziwnego. Qui-Gon zastanawiał się czasem, dlaczego młodzi Jedi przechodzili spod opieki wychowawców w dziecięcych dormitoriach pod kuratelę swoich mistrzów w samym środku wieku nastoletniego (u większości gatunków), czyli dokładnie wtedy, kiedy każda zmiana staje się trudniejsza. (On sam, jak Dooku i Yoda, a wcześniej też stary mistrz Yody, wziął padawaną nieco młodszego. Obi-Wan został jego uczniem jako trzynastolatek. W niczym nie poprawiło to sytuacji). Qui-Gon poruszył ten temat z innymi mistrzami, takimi jak Mace Windu i Depa Billaba, a nawet z Yodą, i wszyscy zapewniali Qui-Gona, że pierwsze miesiące niemal zawsze są trudne.

– Martwić się powinieneś, gdyby do konfliktów nie dochodziło – orzekł sentencjonalnie Yoda. – Bo wtedy jak trzeba twój padawan się nie rozwija.

Czy pierwsze miesiące, które Qui-Gon spędził z Dooku, wyglądały naprawdę inaczej?

Ale z mistrzem Dooku połączyło go głębokie porozumienie, zanim upłynął ich pierwszy wspólny rok. I tak to wyglądało w przypadku większości mistrzów i uczniów. Owszem, z początku pomagał też Rael, ale Qui-Gon i Dooku również bez niego stworzyliby tę więź. To Dooku zapoznał Qui-Gona ze starożytnymi przepowiedniami Jedi, wzbudzając w nim zainteresowanie odległą historią i językami, które miało przetrwać o wiele dłużej niż jego żarliwa wiara w zdolności jasnowidzące mistyków. Poza tym łączyło ich mnóstwo cech: samodzielność, sceptycyzm i niechęć do traktowania tego, co mówi Rada, jako słowa objawionego.

Cechy te, charakterystyczne dla nich obu, jednocześnie sprawiały – i to niemal wszystkie – że Qui-Gon i Obi-Wan stanowili swoje przeciwieństwo.

Qui-Gon uważał, że każdą sytuację należy rozwiązywać w sposób odpowiednio do niej dostosowany – Obi-Wan wolał trzymać się procedur. Qui-Gon cenił elastyczność, którą Obi-Wan postrzegał raczej jako niedbalstwo. Qui-Gon nauczył się z czasem lepiej dogadywać się z Radą, ale nadal dbał o zachowanie niezależności, Obi-Wan zaś sądził, że powinien słuchać Rady zawsze i we wszystkich szczegółach, ze zgrozą obserwując najdrobniejsze nawet odejście swojego mistrza od standardowych procedur.

Żadna z tych cech nie czyniła z Obi-Wana złego kandydata na rycerza Jedi. Wielu Jedi – i to często najlepszych – myślało i działało na podobnych zasadach. Jednak właśnie przez to nie do końca umiał się dopasować do Qui-Gona. Po latach partnerstwa wciąż nie działali w pełni spójnie. Gdyby sytuacja tego dnia okazała się bardziej niebezpieczna – gdyby zagrożenie w pałacu Huttów było poważniejsze – ten brak pełnego porozumienia mógł stać się przyczyną ich śmierci.

„Jak to naprawić? – zastanawiał się Qui-Gon. – I czy w ogóle zdołam to zrobić? Bo Obi-Wan na to zasługuje...”

– Przepraszam za to, co się stało, mistrzu – odezwał się w końcu Obi-Wan. – Powiniennem wiedzieć, co miałeś na myśli, kiedy kazałeś mi zająć się drzwiami... A potem dałem się złapać, kiedy próbowałem zakraść się na statek...

– Obi-Wanie... Winę ponoszę ja. – Qui-Gon położył swoją dużą dłoń na ramieniu Obi-Wana. – Po pierwsze, dałem ci niejasne polecenie. – „Lepszy mistrz nauczyłby do tej pory swojego padawana, jak dostroić się do jego instynktu bitewnego”. – I wiedziałem, że raczej nie zdołasz sam porwać statku, ale warto było spróbować i tyle. To nie twoja wina.

Większość padawanów poczułaby ulgę, że zdjęto z nich odpowiedzialność, ale Obi-Wan tylko mocniej zmarszczył brwi.

- Potrafię lepiej – mruknął.
- Qui-Gon westchnął.
- Obaj potrafimy. Ale teraz wracajmy do domu.

Na planecie Pijal, pod palącymi promieniami słońca, trwał wyścig.

– Dalej! – krzyknął Rael Averross, przynaglając wierzchowca, by popędził w górę, ku szerokiej szczelinie, głębokiej i skalistej.

Varactyl zaćwierkał i ruszył naprzód, pokonując szczelinę jednym skokiem. Kiedy jego ciężkie łapy zakończone szponami opadły z łoskotem na trawę, Rael roześmiał się głośno.

– Bravo! – zawołał z wyraźnym akcentem z Ringo Vindy. – O to chodzi!

Klan Iltan przywiózł varactyle z Utapau kilkadziesiąt lat wcześniej, aby zyskać przewagę w Wielkich Łowach. Od tamtej pory w wyniku odpowiedniej hodowli przekształciły się w smukłe, zwinne zwierzęta o czerwonych piórach, spotykane tylko na Pijalu. Pewnego dnia, jak domniemywał Rael, reszta galaktyki odkryje tutejsze varactyle, a wtedy nikt już nie będzie chciał się ścigać na fathierach. Na razie jednak zwierzęta te, prędkość, którą osiągały, i czysta radość jazdy na nich stanowiły wyłączną specjalność Pijala.

Rael zauważył flagę oznaczającą metę i bez słowa skierował varactyla w tamtą stronę. Zwierzę zareagowało bez wahania, przyśpieszając ze wszystkich sił, aby dotrzeć tam jak najprędzej. Varactyle kochały prędkość dla prędkości, a Rael uważał, że rozumieją nawet różnicę między wygraną i przegraną. Jego wierzchowiec wydał z siebie melodyjny, waleczny okrzyk i przemknął przez metę, hamując tak szybko, że jego pazury zostawiły wyraźne ślady w piaszczystym gruncie. Rael sięgnął z uśmiechem do juków i wyjął duży kawałek

suszonego mięczaka – specjalność Pijala, której sam nie zno-
sił. Varactyl jednak potrafił go docenić i przeżuwał przysmak
z rozkoszą.

Do mety dotarła reszta jeźdźców. Wykrzykiwali gratulacje
i przyjazne żarty. Rael zeskoczył z siodła, bo wszyscy musieli
teraz odprowadzić wierzchowce do pałacowych stajni. Kiedy
stanął na ziemi, pokręcił z niezadowoleniem głową. Stojący
w pobliżu, stoicki jak zwykle kapitan Deren zapytał:

– Jakiś problem?

– Nie – westchnął Rael. – Zastanawiam się tylko, czemu
moje kolana muszą być tak złośliwe, by starzeć się wraz
z resztą mojego ciała.

– Można sobie zrobić syntetyczne implanty...

– Nie, to nie takie ważne. Wiesz, co mówią o starzeniu
się: że to bije alternatywę na głowę. – Rael starał się o tym
pamiętać. Widział zbyt wielu, którzy odeszli przedwcześnie.
Jeśli niekiedy, o poranku, patrzył na siebie w lustrze i zastana-
wiał się, kim jest ten siwiejący stary przyk... No cóż, to tylko
dowodziło, że wciąż żył. A resztę danego mu czasu zamierzał
przeżyć, ciesząc się nim w absolutnej pełni.

Kiedy dotarli do stajni, młodzi pomocnicy przejęli lejce
od jeźdźców i zabrali zwierzęta na czyszczenie piaskiem i kar-
mieniem.

Deren i paru innych wojskowych wróciło do koszar, ale
większa grupa poszła wraz z Raelem do najbliższej kantyny.
Nie prezentowała się zbyt wytwornie – była to błotnista,
brudna dziura, wydrążona w skale, w której cuchnęło bar-
manem Wookiee, ale właśnie dlatego Rael lubił tę spelunkę.
Klienci powitali go hałaśliwymi i radosnymi okrzykami, a wła-
ścicielka, Selbie, o jasnych włosach, zmysłowych ustach i du-
żym biuście, obdarzyła go ciepłym uśmiechem, biorąc od
niego długi płaszcz.

Idący obok jeździec nachylił się do niego i szepnął:

– To co, znowu się spiknęliście?

– Może. – Rael nieczęsto korzystał z damskiego towarzystwa. Kiedy ktoś się o tym dowiadywał, zaczynał się dziwić i robić z tego wielką aferę. Nie zawsze też warto było sobie zawracać tym głowę. Ale... rzeczywiście minęło sporo czasu, a Selbie była w wieku w miarę zbliżonym do jego własnego. Nigdy też nie spotkał nikogo o tak rubasznym poczuciu humoru.

„Dlaczego by nie?” – pomyślał. W sumie można sprawdzić, czy nie miałaby ochoty... Zamachał do niej. Kobieta rozpromieniła się i ruszyła w jego kierunku.

– Hej – chrząknął ogromny Chagrianin, wyraźnie pijany. Zacisnął szaroniebieską rękę na łokciu Selbie. – Właśnie z nią rozmawiam. I już prawie ją przekonałem!

– Aha, akurat! – warknęła Selbie. – Spadaj. Za dużo wypileś.

– Wyrzucasz mnie? Dla niego? – Wolną ręką wskazał niezdarnie na Raela. – Ubłocone buty, nieogolony pysk, żadnych manier... To ci się podoba...? Wierz mi, mógłbym cię utrzymywać na lepszym poziomie.

– Chyba jesteś tu nowy. – Selbie wyrwała łokieć. – Nikt mnie nie utrzymuje. Sama się utrzymuję.

– Daj mi szansę, dziewczyno. – Chagrianin spróbował przyciągnąć ją do siebie, ona jednak znów wyrwała się z jego niepewnego uścisku. Rozzłościł się jeszcze bardziej. – Za kogo się uważasz? Odrzucasz takich jak ja, kiedy sama jesteś śmieciem! Nędzna szmata!

Selbie nie przejmowała się w ogóle wyzwiskami Chagrianina. Nie oznaczało to jednak, że Rael nie powinien interweniować.

Poza tym potrzebował odrobiny rozrywki.

– Hej, ty – powiedział do Chagrianina. – Zabieraj się stąd, zanim ja się za ciebie zabiorę.

Chagrianin wypiął pierś. Uznał zapewne, że jeśli nie może zdobyć kobiety, bójka częściowo mu to wynagrodzi.

– Zabierzesz się za mnie? A jak niby chcesz to zrobić?

W ułamku sekundy Rael sięgnął do pasa i dobył broni. Miecz świetlny rozświetlił całą salę niebieskim blaskiem. Chagrianin zmarł. W kantine zapadła cisza. Averross pokazał w uśmiechu zęby.

– Założę się, że jakoś sobie poradzę – rzucił.

– Jedi – wychrypiał Chagrianin. Cofał się, szurając, w stronę drzwi, z pochyloną głową. – Nie wiedziałem... Bo ty... Nie wyglądasz jak Jedi.

– Hmm. – Rael zamyślił się. – A zawsze mi się zdawało, że to inni Jedi nie wyglądają jak ja.

– Doniosę na ciebie. – Chagrianin potrząsnął rogami, co w jego mniemaniu miało wyglądać groźnie. – Nawet jeśli jesteś Jedi, podlegasz prawu. O wszystkim dowiedzą się władze!

Selbie wzięła się pod boki. Wyglądała, jakby nigdy nie bała się tak dobrze jak teraz.

– Witamy na Pijalu! Dopóki księżniczka nie dorośnie, rządzi nami regent. – Wskazała uroczyście na Raela. – Poznaj naszego lorda regenta.

Ucieczce Chagrianina z kantyny towarzyszyły śmiechy i drwiny klientów. Muzyka znów grała. Rael wyłączył miecz świetlny i odwrócił się z uśmiechem do Selbie.

I właśnie wtedy zapalił się holoe ekran nad barem. Obraz otoczony był czerwoną obwódką.

Uśmiech spelzł z twarzy Raela, jeszcze zanim obraz ostrzył się i ekran ukazał magazyn pod stolicą, który dopalał się w ostatniej fazie pożaru. Jeśli księżniczka Fanry to

oglądała – a z pewnością tak – niewątpliwie ją to przeraziło. Musiał natychmiast do niej wracać. „Czy te potwory w ogóle myślą o ludziach, którym wyrządzają krzywdę?” – pomyślał z goryczą.

Po chwili przyjechały droidy strażackie i ugasiły pożar, a u góry holoeckranu wyświetlił się pasek z napisem: DOMNIEMANY ZAMACH OPOZYCJI.

– Halin Azucca! – syknął. – Poślę ją do piekła.